

# W ostatniej krainie, gdzie króluje Dzikie Życie

*Widziane z morza*

Piszę to z pokładu „Oceanii”, jedyne polskiego statku badawczego, który wypływa poza Bałtyk na doroczne badania Północnego Atlantyku i Arktyki Europejskiej. W czasie dwumiesięcznego rejsu po Morzu Norweskim, Grenlandzkim i Barentsa, dwa tygodnie spędzam w fiordach Spitsbergenu.

Norweski archipelag Svalbard, do którego należy Spitsbergen, jest według ambicji Norwegów najlepiej zarządzanym obszarem dzikiej przyrody na świecie. Są tu tylko dwie stałe osady (dawniej górnicze, dziś turystyczno-naukowe) liczące około 1000 mieszkańców oraz kilka izolowanych stacji badawczych. Komunikacja między tymi miejscami odbywa się tylko statkami (helikoptery są bardzo drogie) i dzika przyroda nie doznała tu widocznego uszczerbku w postaci zmienionego krajobrazu – sieci dróg czy budowli. Poza dwoma osadami nie zobaczymy słupów, kabli ani żadnych instalacji. Norwegowie wprowadzili ostatnio nowe zasady mające powiększyć zakres „dzikości”. Większość opuszczonych chat traperskich, chętnie używanych przez wyprawy naukowe jako letnie bazy, ma być teraz pozostawiona siłom natury, nie wolno ich remontować – mają się rozpaść i wtopić w otoczenie. Norwegia objęła różnymi formami ochrony większą część powierzchni archipelagu – od strefy powszechnie dostępnej, przez parki narodowe, gdzie obowiązuje zgłoszenie pobytu, po sanktuaria, gdzie nikt nie ma wstępu poza udzielanym raz na kilka lat pozwoleniem dla wąskiej grupy naukowców. Występuje tu stabilna populacja białych niedźwiedzi (około 2000), morsów (ponad 1000), większość gatunków atlantyckich wielorybów, fok i ogromne kolonie ptaków morskich.

Co ciekawe, Spitsbergen przeżył swój okres „katastrofy ekologicznej” – prawie 300 lat temu. Po odkryciu archipelagu w 1594 r. ruszyli na niego wielorybnicy i około 1600 r. w największej kolonii wielorybniczej należącej do holenderskich spółek przebywało latem do 10 000 ludzi. Wybrzeże usiane było piecami, barakami i rusztowaniami, a w powietrzu cały sezon unosiły się kłęby tłustego czarnego dymu z pieców, gdzie palono resztki tłuszczu i kości. Zaplecze lądowe wielorybników zniszczyło tundrę wokół osad i wybiło lokalne kolonie ptaków. Równocześnie trwała rzeź morsów, gdzie często pozostawiano większość zabitych zwierząt na plaży, bo sztorm uniemożliwiał ich zebranie. Już w połowie XIX w. nie pozostał na Spitsbergenie żaden wal grenlandzki i ani jeden mors. Potem zaczęły się przemysłowe polowania na niedźwiedzie z użyciem samopalmów, rzeźnik rekordzista zabił jednego sezonu 123 białe niedźwiedzie. Rozpoczęta na dobre od 1973 r. ochrona przyrody na Spitsbergenie przyniosła efekty. Dziś trudno się domyśleć dramatycznego epizodu z przeszłości – pokryte tundrą kości wielorybie są częścią krajobrazu, a słowo „wildlife” jest kluczem dla polityki wobec tego obszaru.

Oczywiście odbiór tego skarbu natury jest bardzo różny. Może być taki jak mojego przyjaciela Christiana Lydersena, z którym pracujemy we wspólnym polsko-norweskim projekcie GLAERE. Przybił do pokładu „Oceanii” jachtem „Meridian”, na którym z pięcioposobową załogą ściga od kilku tygodni duże ssaki morskie. Duże to znaczy wieloryby i morsy. Kiedy z pokładu jachtu zobaczą wieloryba, spuszcza ją na wodę dwie szybkie łodzie i wyposażeni w kusze ścigają zdobycz, żeby jednym strzałem w grzbiet umieścić w skórze zaczep z nadajnikiem satelitarnym i pobrać próbkę tłuszczu do analizy DNA. Z mniejszymi waleniami (6-metrowymi białuchami) radzą sobie inaczej, zaganiają zwierzę do płytkiej zatoki, po czym jeden z ekipy skacze z łodzi na białuchę, starając się umieścić na jej głowie wielką obręcz z sieci. W porównaniu z tym zadaniem rodeo wydaje się zabawą dla dzieci. Te sportowe wyczyny służą rozpoznaniu migracji i trybu życia wielkich ssaków. Trzeba tylko dodać, że przez blisko miesiąc rejsu udało im się w tym roku „zaobrączkować” tylko dwa wieloryby i jedną białuchę. Czyli 28 dni szukania i trzy dni efektywnej pracy. To normalne dla

terenowego naukowca, ale trudne do zaakceptowania dla innego rodzaju odbioru dzikiej przyrody – rekreacyjnego.

Na Spitsbergen przyjeżdża rocznie ponad 100 000 turystów, głównie na wielkich statkach wycieczkowych. To kosztowne rejsy, dużo droższe niż wakacje na Malediwach, a turysta jest od początku karmiony opowiadaniem przewodników o wspaniałej dzikiej przyrodzie wokół nich. Ogromna większość zwiedzających to ludzie kulturalni, przywoici, zainteresowani przyrodą, pragnący zobaczyć na własne oczy coś, co oglądali w telewizji na Discovery i National Geographic. Tymczasem w tygodniowym rejsie po kilku dniach przewodnik pokazuje im żółtawą kropkę oddaloną o ponad kilometr od statku i objaśnia, że to właśnie niedźwiedź polarny, a tamta chmura pyłu wodnego w oddali to przepływający wał błękitny. Co jest do cholery? A gdzie ogon wieloryba wystający z wody, a gdzie czarny nos węszącego niedźwiedzia? Czemu ja tego nie widzę? Rozmawiałem z kilkoma takimi rozczarowanymi gośćmi, próbowałem wytłumaczyć, że te fantastyczne zdjęcia w telewizji, to efekt wielodniowych wyczekiwań, bardzo dobrego teleobiektywu i lat praktyki. Przekonywałem, że najważniejsze „wildlife experience”, które teraz przeżywają, to możliwość nieoglądania ludzkich śladów w niezmiennym naturalnym krajobrazie. „No to jest argument naukowca, który może tu być, kiedy chce, ja mam tylko tydzień czasu i wydałem już dość pieniędzy” – to była typowa odpowiedź.

Myślę, że dla takich gości lepiej otworzyć na miejscu sklepik z pamiątkami i wystawę wypchanych zwierzaków. Do najlepiej zarządzanej dzikiej przyrody na świecie trzeba mieć dużo cierpliwości i czasu. Cóż, taka cena, którą niewielu jest w stanie zaakceptować.

Prof. Jan Marcin Węsławski



Na taką okazję czasem trzeba czekać tygodniami – niedźwiedzica pozostaje przy na padlinie morsa przez wiele dni, Kongsfjord, Spitsbergen. Fot. Katarzyna Dragońska